



Wyobraźmy sobie, że siedzimy przed telewizorem i oglądamy mecz piłkarski Polska - Reszta Świata. Prowadzimy

2:0. No, wynik mówi

sam za siebie, więc o żadnym relaksie nie może być mowy, jesteśmy bowiem bliscy zawału serca i czujemy się tak, jakbyśmy przerzucili wagon węgla, bo skakaliśmy po naszym ulubionym fotelu pięćdziesiąt razy na minutę po pierwszej bramce, a po drugiej już tylko dwadzieścia, bo w przerwie biegaliśmy po pokoju jak tygrys po arenie, ogryźliśmy paznokcie do krwi (tej ostatniej), zaś adrenalina prawie wypłynęła nam nosem. Ostatnie dziesięć minut meczu spędziliśmy w WC, bo z nerwów, że przegramy, puściły nam zwieracze, a uszy zatykałyśmy stoperami, żeby nie słyszeć, jak Reszta Świata bezpardonowo, brutalnie i w sposób zmasowany, nie licząc się z prawami człowieka, atakują Rzeczpospolitą.

drugą szklanekę piwa z siłą wodospadu. Oni, ci z westernu, idą zagrać w pokera, my gramy rodzinie na nerwach, bo na innym kanale zaraz zacznie się wyciskacz łez i melodramat w jednym p.t., „Teksańska masakra piłą mechaniczną IV”. Jeszcze chwila...

oto na ekranie pojawia się scena zbiorowa, to znaczy kończą pokera, akcja przenosi się przed saloon, gdzie leją się po gębach już metodą każdy z każdym. Robi się ciekawie, poprawiamy się w fotelu, no bo ostatecznie to nie nas leją, wreszcie całą zabawę psuje głupi szeryf, który zamiast ścigać złoczyńców, marnuje kule strzelając w powietrze w celu rozłączenia złączonych. Na to wszystko pojawia się nagle zabawny facecik w garniturze w szkocką kratę i w krawacie, obowiązkowo w binoklach. Wygląda jak człowiek uczony i biegły w różnych sztukach. Po chwili okazuje się, że biegły jest w medycynie. Ale bynajmniej nie opatruje rozkwaszonych nosów i podbitych oczu. No przecież nie jest idiotą.

Czego kowboj potrzebuje na czczo

Amiało być tak sympatycznie. Prasa zapowiadała mecz, my (kibice - rodzaj męski) zapowiadaliśmy sobie relaks. A tu proszę, o mały włos a człowiek zrobiłby wylinkę. Oszustwo w biały dzień. Dla Reszty Świata w czarny. Tak więc zwabieni widmem przyjemności przeżyliśmy katorgę i stres, który mógłby zabić słonia, gdyby ten wiedział co to Bóg, Honor i Ojczyzna i na dodatek był kibicem.

Innym razem wyobraźmy sobie, że siedzimy przed telewizorem i oglądamy western, czyli film o twardej karkach w kapeluszach i z bronią w kaburze, dla twardej karkach w pluszowych fotelach. Oni w saloonie siorbią szklaneczki whisky bez mrugnienia powieką, my siorbiemy ulubione piwko; oni leją się po gębach z siłą Mike'a Tysona, my w ciepłym foteliku lejemy

On jest sprzedawcą leku, który leczy absolutnie wszystko. Wymachuje więc buteleczką, w której chlupocze jakiś płyn koloru ciemnopietruszkowego, najpewniej zawierający odrobinę alkoholu, naparu z mięty, czasem kilka kropli opium. Wszystko to działało znieczulająco i dlatego sprawiało wrażenie panaceum. Inna sprawa, że podanie placebo na określoną dolegliwość może wywołać reakcję taką, jakby podano autentyczny lek.

Ta historyjka z niejednego westernu ma odniesienie do rzeczywistości. Zanim coca-cola zrobiła światową karierę, uznawana była właśnie jako panaceum. Nie jest to wykluczone, bowiem nie wiemy jaką dawkę kofeiny i cukru zawierał ówczesny napój. Cukier zaś i kofeina podane na czczo kow-

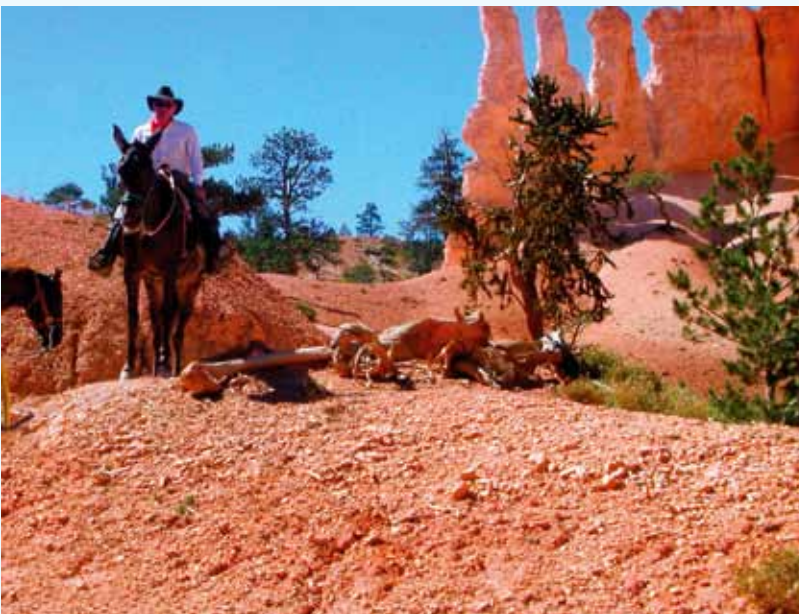
bojowi, który przeholował i przedawkował, łagodziły przykrość zderzenia z zespołem dnia drugiego czyli suszkiem okrutniczkim. I tak rosła legenda.

Ale na całym niehollywoodzkim świecie działały tysiące prawdziwych oszustów, którzy żerowali na ludzkich marzeniach względem panaceum czyli leku na wszelkie choróbska, dolegliwości i zakały.

Słynny płyn kąpielowy niejakiego Luisa Bonnora miał leczyć reumatyzm, odrę, cholere, paraliż, syfilis, padaczkę i jeszcze kilka okropności. Działał głównie przeczyszczająco, bo po prostu zawierał roztwór mydła. Inny specyfik z Dzikiego Zachodu, produkcji niejakiego Williama Radana przebił skutecznością inne znane dotąd, albowiem leczył już wszystkie choroby poza odrastaniem kończyn. Niektóre specyfiki odwoływały się do tradycji wschodnich, bowiem nie tylko w Europie, ale także w Ameryce wierzono, że coś, co pochodzi z Chin, oprócz Chińczyków, musi działać, skoro tych jest coraz więcej na świecie. Taką sławę zdobył olej węzowy uzyskiwany z tłuszczu chińskiego enhydrysa, czyli niewiel-

kiego węża odżywiającego się rybami, który istotnie łagodził bóle stawowe. Ale wiele mazideł i olejów węzowych to były klasyczne mikstury bez żadnej wartości medycznej, jednak sprzedawały się znakomicie, bo naiwnych nie brakowało. Co tak naprawdę kryło się w większości owych olejów, wykazały badania rządu amerykańskiego przeprowadzone w 1917 r. Naukowcy wzięli na warsztat słynny olej produkowany przez Clarka Stanleya, teksańskiego Króla Grzechotników, jak sam lubił się nazywać. „Dobre dla ludzi i zwierząt” mazidło miało leczyć m.in. odmrożenia, reumatyzm i ukąszenia jadowitych stworzeń, co było prawdziwym utrapieniem traperów. Tymczasem specyfik zawierał olej mineralny, paprykę, terpentynę, kamforę i ślady

we ilości tłuszczu zwierzęcego, prawdopodobnie wołowego. Stanley został wtedy skazany na grzywnę wysokości 20 dolarów. Dziś oryginalne buteleczki po jego specyfiku są bardzo cenione przez kolekcjonerów. Jeśli mazidło z oleju węzowego Króla Grzechotników komukolwiek przyniosło ulgę, to należy przypisać to raczej efektowi placebo. Większość z ówczesnych leków patentowych opierała się na innym działaniu - ich głównym składnikiem był bowiem alkohol albo substancje znieczulające lub wręcz narkotyczne, np. nowokaina, kokaina i opiaty czyli morfina, kodeina, tebaina i noskapina. Nic więc dziwnego, że po ich zażyciu chorzy natychmiast odczuwali ulgę. A że efekty po jakimś czasie mijały, trzeba było wziąć następną dawkę, potem jeszcze następną, aż do uzależnienia.



Lisście koki, które żuli i żują Indianie z Ameryki Południowej, działają właśnie narkotycznie i znoszą uczucie zmęczenia.

WXIX wieku udało się po raz pierwszy wypromować pewien specyfik na masową ska-

łę. Był to eliksir Lydii Pinkham. Miał pomóc na wszystko: od bezsenności, bólów głowy i objawów menopauzy, po depresję i wczesne stadia nowotworów. Sprzedawany był od 1875 roku, a firmująca go Amerykanka zbiła na nim majątek. Na listy cierpiących na rozmaite dolegliwości klientek firma odpowiadała, udając panią Pinkham, jeszcze wiele lat po jej śmierci. „Ziołowy Elik sir” Lydii Pinkham można kupić do dziś - za osiem dolarów dostaniemy butelkę lub tabletki wystarczające na miesięczną kurację. Nie wiadomo, czy działa w przypadku chęci zbicia majątku. Lepiej zbić sobie cukier pijąc sok z kiszzonej kapusty. Po tym zabiegu wyłączyć telewizor.

Janusz Niczyporowicz